

Myśleć jak filozof, argumentować jak kognitywista

Andrzej Klawiter

Pochwała tekstu Marcina Miłkowskiego i Roberta Poczobuta

Marcin Miłkowski i Robert Poczobut napisali tekst wzorowy. Syntetycznie i z wielką kompetencją wybrali bodaj najwartościowsze elementy wiedzy o umyśle, wypracowane we współczesnej nauce i filozofii. Umiejętnie wyłuskali idee nośne, opracowane według najlepszych aktualnych standardów, a zarazem najbardziej obiecujące, czyli te, którym skłonni jesteśmy przypisać wysoką spodziewaną użyteczność dla konstrukcji przyszłej teorii umysłu. W ich tekście znajdują tezy, które – jeśli dobrze odczytałem intencje autorów – sam również uznaję za trafne. Tak jak oni uważam, że:

1. Odpowiedź na pytanie *Czym jest umysł?*, rozumiana jako próba dotarcia do jego natury czy też istoty, będzie poznawczo jałowa, jeśli:
 - a) sam umysł pojmowany jest jako odrębna substancja lub „pojemnik” na przeżycia psychiczne,
 - b) świadomie rezygnuje się z konfrontowania uzyskanych w filozofii umysłu wyników z wiedzą naukową,
 - c) posiadanie umysłu przypisuje się tylko istotom ludzkim.
2. Jednym z naczelných zadań filozofa umysłu jest (współ)tworzenie modelu lub modeli umysłu.
3. Ponieważ stan współczesnej nauki wskazuje, że model taki zawierać będzie wiedzę z wielu dziedzin (przejawem tego jest dominacja wielopoziomowych ujęć umysłu), przeto zadaniem filozofa jest wykazanie, że jego propozycje stanowią istotny składnik modelu i nie da się ich pominąć, czy też wyprowadzić z aktualnie dostępnej wiedzy naukowej.

Po cóż filozof przy budowie modelu umysłu?

Sympatyzując z ideą, iż badacze i filozofowie wspólnie kreślą, przynajmniej w najgrubszym zarysie, obraz umysłu, pragnę skoncentrować się nie na tym, czego filozof może i powinien nauczyć się od badaczy, lecz na tym, co on sam może zaoferować swoim kolegom naukowcom. Nie mam tu na myśli kwestii skądinąd oczywistych, a więc tych umiejętności, które za sprawą technik wypracowanych w filozofii analitycznej czy filozofii nauki, mogą przydać się w dopracowaniu formalnej strony modeli umysłu budowanych w nauce. Nie idzie też o banalną – przynajmniej z perspektywy filozofa – biegłość w wydobywaniu z przeszłości idei filozoficznych, pozwalających przybliżyć kolegom z nauki wizje umysłu zawarte w koncepcjach wielkich, lecz hermetycznych (przynajmniej dla reprezentantów nauki) myślicieli, takich jak: Husserl, Merleau-Ponty czy Heidegger. We wszystkich tych przypadkach rola filozofa jest wyraźnie usługowa: pomaga on zajęтым „poważną” działalnością badaczom uporządkować wiedzę, którą oni wypracowali lub usprawnia proces przyswajania zastanych idei filozoficznych, parafrazując je w języku współczesnej nauki tak, by choćby *prima facie* wspierały aktualnie realizowany program badawczy. Uważam, że przed filozofem stoi dużo ważniejsze zadanie.

Otóż, mówiąc swobodnie, rzeczą filozofa jest skuteczne wykazywanie, że żadną miarą nie da się pominąć tego, co ma on do powiedzenia o umyśle. Próba zignorowania jego propozycji sprawi, że zamiast modelu umysłu powstanie model struktury umysłopodobnej czy wręcz paraumysłowej. Podkreślmy raz jeszcze, że chodzi tu o **skuteczne** przekonywanie. Nie da się tego osiągnąć metodami Starej Dobrej Szkoły, snując refleksje nad umysłem i licząc na nieodparty urok argumentacji filozoficznej. Czy nam się to podoba, czy nie, pogodzić trzeba się z tym, że *lingua franca* współczesnej wiedzy o umyśle jest język nauki. Jeśli filozof uważa, że ma do powiedzenia ważne – nie tylko dla członków swojego plemienia – rzeczy o umyśle, powinien zrobić to tak, aby zrozumieli go badacze, bo to za ich sprawą jego idee mogą nabrać ziemskiej mocy.

Żadną miarą nie należy odczytywać powyższego jako rejterady z obozu filozoficznego, po to, aby przyjąć warunki kapitulacji narzucone przez naukę. Jest

to wezwanie do podjęcia autentycznej działalności filozoficznej, czyli do poszukiwania świeżych, nieoczekiwanych pomysłów co do funkcjonowania umysłu jako całości lub poszczególnych jego składników. Jestem przekonany, że dobrze wyszkolony filozof radzi sobie z tym zdecydowanie lepiej niż funkcjonujący w sztywnej strukturze paradygmatu naukowiec. Jednakże samo sformułowanie problemu to dopiero początek zadania. Jego niezbędna kontynuacja polega na podjęciu starań, aby tak przetworzyć pierwotny problem, by owa propozycja filozoficzna stała się łamigłówką, a więc kwestią dającą się traktować środkami nauki. Należy przy tym liczyć się z typową dla nauki sytuacją, że starania te zakończą się niepowodzeniem. Teoria naukowa utrzymuje się, jeśli potrafi sprostać faktom, natomiast propozycja filozoficzna dotycząca umysłu utrzyma się, jeśli potrafi sprostać wiedzy naukowej na jego temat.

Aby pokazać, że nie są to tylko czcze postulaty zamarkuję – poprzestając na czysto pogładowym szkicu – jak wyobrażam sobie taką działalność filozofa. Ograniczę się przy tym do pewnego stosunkowo prostego rodzaju umysłu, który nazwę umysłem percypującym.

Umysł percypujący z perspektywy filozofa

Percepcja to bodaj najlepiej zbadana forma aktywności umysłu. Wydawać by się mogło, że stopień wyspecjalizowania i zaawansowania wiedzy naukowej o percepcji jest tak znaczny, że nie ma tu miejsca dla pomysłów, które nie byłyby generowane przez zagadnienia własne tej dziedziny. Jeśli, na dodatek, zważyć, że klasyczna filozoficzna refleksja nad percepcją znajduje się od dłuższego czasu w głębokiej stagnacji, filozof stracić może wszelki zapał, aby przyłączyć się do badaczy i przekonywać ich, że obowiązujące w nauce modele percepcji wymagają istotnej modyfikacji, a kto wie – czy nie wymiany. Nawet jednak i w tej dziedzinie da się – jak uważam – wtrącić filozoficzne trzy grosze. Oto one.

Jak rozpoznajemy narzędzia?

Powszechnie wiadomo, że badania percepcji sprowadzają się do budowania modeli wyjaśniających, na czym polega proces rozpoznawania przedmiotów

znajdujących się w otoczeniu perceptora. Otóż, u podstaw tego rodzaju badań tkwi przekonanie, że celem perceptora jest zidentyfikowanie przedmiotu w oparciu o jego własności fizyczne. Badacze widzenia ustalają zatem mechanizmy odpowiedzialne za tworzenie percepcyjnej reprezentacji fizycznych (a więc, dających się zidentyfikować całkowicie niezależnie od zaangażowanego w proces percepcji organizmu) cech przedmiotu uznając, że to właśnie ta reprezentacja zawiera informację, do której osiągnięcia zmierza perceptor. Tu jednak pojawia się kłopot polegający na tym, że nie bardzo wiadomo jak uzgodnić wiedzę o tak rozumianej percepcji z ugruntowanym w myśleniu ewolucyjnym przekonaniem, że organizm w pierwszej kolejności nastawiony jest na zdobywanie informacji, która potrzebna mu jest do przetrwania. Jakże bowiem ze zdobytej za pośrednictwem wzroku informacji o kształcie, wielkości, barwie, położeniu itp. spostrzeganego przedmiotu wydobywany jest zasadniczy dla organizmu przekaz o tym, że stoi on przed czymś do zjedzenia? Według mojej, z pewnością ułomnej, wiedzy do tej pory nie udało się znaleźć zadowalającej odpowiedzi na to pytanie.

I tu w sukurs przychodzi – podbudowane wiedzą i umiejętnościami interpretacyjnymi – myślenie na sposób filozofa. Jak pamiętamy, już Husserl (odwołuję się tutaj do tradycji najlepiej mi znanej, być może w innej da się znaleźć zgrabniejsze pomysły) zwrócił uwagę (np. w *Ideach II*) na to, że w codziennym życiu doświadczamy domów, stołów, ulic, dzieł sztuki, a nie przedmiotów (zwanych przez niego obiektami przyrodoznawstwa), których podstawowa charakterystyka dana jest przez zestaw parametrów fizycznych. Te, rzucane mimochodem, uwagi Husserla nabrały zupełnie nowej treści za sprawą Heideggera. Dopiero ten ostatni sformułował tezę, którą na swój użytek nazywam – nawiązując do ducha Hume’owskiego pytania o stosunek bytu i powinności – problemem Heideggera. Problem ów, to pytanie o stosunek rzeczy i narzędzia. Można ująć je lapidarnie jako pytanie o to, czy z cech rzeczy da się wyprowadzić cechy narzędzia. Sam Heidegger rozstrzygnął je negatywnie przyjmując, że z wiedzy o rzeczy nie da się wyprowadzić wiedzy o narzędziu¹. Odpowiedź ta,

¹ „Nawet najbardziej przenikliwe zaledwie-tylko-spoglądanie na tak a tak uposażony »wygląd« rzeczy nie potrafi odkryć niczego poręcznego” (M. Heidegger, *Bycie i czas*, PWN, Warszawa 1994,

odniesiona do procesu percepcji daje w efekcie wysoce nieintuicyjny pogląd, że informacja o fizycznych cechach przedmiotu uzyskana – np. w procesie widzenia – nie przydaje się do rozpoznania jego cech jako narzędzia. Jednak to nie odpowiedź, lecz samo postawienie problemu było odkrywczym. I to ono daje szansę filozofowi na włączenie się do zespołu współczesnych badaczy pracujących nad modelowaniem umysłu percypującego. Oto bowiem, filozof może argumentować, iż celem perceptora wcale nie jest rozpoznanie fizycznych cech przedmiotu, lecz jego narzędziowej – w sensie Heideggera – natury. Jej trafne rozpoznanie zwiększa szansę organizmu na przetrwanie. Tę ogólnikową ideę trzeba jednak przekuć na argumenty, które będą zrozumiałe dla badaczy percepcji. Szkic takiej argumentacji mógłby przyjąć następującą postać.

Standardowa teoria widzenia (ta w stylu Marra-Biedermana) potrafi w miarę sprawnie wyjaśnić, jak na podstawie rozpoznania kształtu przebiega odróżnianie krowy od konia czy od żyrafy (Marr, *Vision*, Freeman, San Francisco, 1982, s. 319). Jednakże nie dostarcza ona środków pozwalających wyjaśnić, na czym polega rozpoznanie w przedmiocie jego cech manipulacyjno-użytkowych. W oparciu o nią nie zrozumiemy więc dlaczego, kiedy patrzymy na nóż, mniej interesuje nas jak on wygląda, a bardziej, gdzie i jak go chwycić. I tu właśnie wkracza postulowana korekta standardowego modelu percepcji. Otóż nóż widzimy nie jako kawałek metalu o specyficznym kształcie, lecz jako „dające się chwycić za trzonek” narzędzie do cięcia. Wzrok najpewniej nie dostarcza nam informacji, jak używa się noża (choć np. Gibson upiera się, że tak), lecz z pewnością informuje nas o tym, jak należy go chwycić. Nazwijmy użytecznościami te cechy, które sprawiają, że dany przedmiot jest narzędziem określonego rodzaju (np. na użyteczność krzesła składa się zespół cech, które

s. 98). Czytając to wielokrotnie cytowane zdanie filozof ze Starej Dobrej Szkoły wzruszy ramionami i powie: Przecież to wszystko jest dobrze znane! Po co powtarzać – i to jeszcze wyrывая je z kontekstu i nadając im przez to nadmiernie uproszczoną postać – szeroko znane idee?

Po pierwsze, szeroko znany jest cytat, a z jego interpretacją jest już nie byle jaki kłopot. Po drugie, czy uwagi te zostały potraktowane poważnie (poza chlubnym wyjątkiem Huberta Dreyfusa i jego szkoły)? Czy próbowano zmierzyć się z nimi? Na przykład, poprzez uczynienie z nich użytku? Choćby takiego, by pokazać, iż sugerują one (bo przecież nie oferują) zupełnie niestandardowy obraz procesu percepcji. Czy próbowano nadać owej sugestii wyrazistszą postać, nawet za cenę przewrócenia jej na nice?

Gibson określa jako „bycie jednoosobową płaszczyzną podtrzymującą, usytuowaną równoległe do podłoża i znajdującą się na wysokości kolan”). Pewne z nich, takie jak „chwytalność”, „siadalność” itp. są identyfikowalne percepcyjnie². Budując model percepcyjnego rozpoznawania użyteczności trzeba więc, z jednej strony, dokonać ich klasyfikacji (nie ma tu co liczyć na Heideggera, trzeba to zrobić na własny rachunek), z drugiej natomiast, sformułować hipotezy co do mechanizmu tworzenia wzrokowych reprezentacji użyteczności. Osobiście uważam, iż mechanizm ten w istotnych punktach odbiega od postulowanego w modelu standardowym. Także i on oparty być musi na empirycznym fundamencie dotychczasowej nauki o widzeniu. Jednakże swoje powstanie oraz impulsy do dalszego rozwoju czerpie z filozofii, a nie z nauki.

² Objaśnienie, na czym owa percepcyjna identyfikacja użyteczności polega, to odrębna kwestia, której nie sposób tu podjąć.